№ 2. Warszawa, dnia 2 (14) Stycznia 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

MIŁOŚĆ WŚRÓD GWIAZD.

POGADANKA PSYCHOLOGICZNA

Kamila Flammariona.

(Dalszy ciąg.)

II.

Objawienie.

Pierwsze ich spotkanie było zaprawdę bardzo dziwne.

Namiętny obserwator cudów natury, zawsze chciwy wielkich widoków, młody naturalista przedsięwziął zeszłego lata podróż do Norwegii, w celu zwiedzenia fiordów i gór o śnieżnych szczytach wznoszących ponad mgły dziewicze czoła. Nadewszystko jednak pragnął studyować zorzę północną, to wspaniałe zjawisko naszej planety. Towarzyszyłem mu w podróży. Zachód słońca ponad fiordami, które stoją cicho i wschód wspaniałej gwiazdy w górach, przejmował jego duszę artysty wzruszeniem niewypowiedzianem. Mieszkaliśmy tam przeszło miesiąc, zwiedzając malownicze okolice od Chrystyanii do Alp Skandynawskich. Norwegia była ojczyzną dziecka północy, które wywarło wpływ tak potężny na uśpione dotychczas serce Jerzego. Była opodal, o kilka kroków, a jednak dopiero w przeddzień wyjazdu, traf, bożek starożytnych, zdecydował się postawić obok siebie tych dwoje.

Blaski poranku złociły szczyty gór. Młoda dziewczyna weszła z ojcem na jedną z nich zobaczyć wschód słońca, który dnia tego był cudowny. Iclea usunęła się o kilka metrów, na samotny pagórek, aby przypatrzyć się lepiej wszystkim szczegółom krajobrazu. Po chwili odwróciwszy się na wprost słońca, pragnąc ogarnąć wzrokiem cały horyzont, ujrzała już nie w górach, ani na ziemi, lecz w niebie własny swój obraz, całą swoją osobę, którą poznać było nietrudno.

Świetlana aureola otaczała jej głowę i szyję promiennym blaskiem, duże, powietrzne koło, leciutko zabarwione odcieniem tęczy, opasywało szczególne zjawisko. Osłupiała, wzruszona osobliwym widokiem, nie ochłonąwszy jeszcze z wrażenia, jakie sprawia na każdym majestatyczny wschód słońca, po chwili dopiero spostrzegła drugą postać obok swojej, sylwetkę mężczyzny nieruchomą jak posąg u bram świątyni. Twarz podróżnika i jej własne oblicze ujęte były w jedno powietrzne koło, potem profil mężczyzny wzniósł się wyżej po niebieskich szlakach. Sądząc iż jest igraszką złudzenia, młoda panna cofnęła się pomimowoli trwogą zdjęta, ruch odbił się na niebie, a widmo mężczyzny podniosło rękę do kapelusza, z odsłoniętem już czołem, niby objawienie, zaczęło tracić czystość konturów i rozpłynęło się w powietrzu jednocześnie z jej obrazem.

Objawienie na górze Tabor nie wzruszyło już chyba silniej uczniów Wielkiego Mistrza, jak czuła się wzruszoną córa północy w obec zjawiska znanego dobrze meteorologom. Pozostało ono w jej umyśle niby snu cudownego.

Zawołała ojca, który stał tuż za wzgórzem, ale gdy nadszedł, wszystko zniknęło.

Żądna objaśnień nic nie otrzymała, nawet co gorzej, powątpiewanie w możliwość zjawiska. Poczciwy ten człowiek, żołnierz wysokiej rangi, należał do kategoryi sceptyków, przeczących wszystkiemu, czego nie wiedzą lub pojąć nie są w możności.

Próżno czarująca istota usiłowała go przekonać, że widziała swój obraz na niebie, a obok niego twarz mężczyzny piękną i młodą, próżno mu przytaczała wszystkie szczegóły zjawiska, dodając, iż obydwie sylwetki miały rozmiary kolosalne, staruszek trwał przy swojem. Było to, jak powiadał, optyczne złudzenie wyobraźni, które się trafia po źle przespanej nocy zwłaszcza w jej wieku.

Ale wieczorem dnia tego wszedłszy na parostatek, spostrzegłem dziewczę o pięknych jasnych włosach wpatrzone w twarz Jerzego z jakimś dziwnym wyrazem. Nieznajoma stała nad morzem przy boku ojca, jak żona Lota zamieniona w słup soli. Traciłem przyjaciela, spojrzał w tę stronę, na twarz dziewczyny wystąpiły rumieńce, spuściła oczy na koło parostatku, które zaczęło się obracać. Nie wiem czy Jerzy poznał się na tem. Przyznać jednak należy, iż żaden z nas nie widział rano powietrznego zjawiska, a dziewczynę przed naszym wzrokiem zasłaniały drzewa; przeciwna strona nieba na którą weszło słońce była przedmiotem naszej uwagi. Spero złożył ukłon Norwegii żegnając ją z żalem, żegnał także wschód słońca a nieznajoma wzięła ten ukłon dla siebie.

We dwa miesiące później, hrabia K. zaprosił liczne towarzystwo na cześć ostatnich tryumfów swojej rodaczki Krystyny Nilson.

Nieznajoma wraz z ojcem przybywszy na zimowy sezon do naszego miasta, wzięła udział w zebraniu. Ojciec jej znał hrabiego od dawna, Norwegia i Szwecya to siostry rodzone. Co do nas przyszliśmy tutaj po raz pierwszy, zaproszeni głównie z powodu ostatniej książki Jerzego, którą świat naukowy przyjął z entuzyazmem.

Marząca, małomówna, a chciwa wiedzy, Iclea przeczytała już kilka razy to dzieło zabarwione mistycyzmem, w którem współczesny metafizyk spowiada się ze swoich wątpliwości myślami Pascala. Dodać należy, iż młoda panna zdała przed kilku miesiącami wyższy egzamin, a porzuciwszy medycynę, która ją zajmowała z początku, przeszła do studyów nad fizyologią psychologiczną.

Gdy oznajmiono Jerzego Spero, zdawało się dziewczynie, że wchodzi nieznajomy przyjaciel powiernik jej ducha. Zadrżała, niby tknięta elektrycznym prądem. Jerzy niedość światowy a nieśmiały przytem, wyglądał zażenowany w tak licznem towarzystwie obcych osób. Nielubiąc tańczyć, grać w karty i rozmawiać o niczem, obojętny na walce i kadryle, wysłuchał z uwagą dwóch, czy trzech arcydzieł muzycznych, które znalazły godnego wykonawcę, siedząc w kącie salonu z kilkoma przyjaciołmi. Upłynął wieczór, on nie zbliżył się nawet do pięknej panny chociaż ją uważał i w świetnym tłumie widział tylko ją jedną. Kilka razy spotkały się ich oczy, zamieniły spojrzenia, a dopiero nad ranem, gdy przerzedziło się cokolwiek, ośmielił się zbliżyć, lecz nie wymówił ani jednego zdania. Odezwała się pierwsza, wyrażając wątpliwość co do ostatecznej konkluzyi dzieła.

Zdumiony niespodzianką, że jego utwór znalazł czytelniczkę i to czytelniczkę tak młodą, odpowiedział niezręcznie, że podobne studya są za ciężkie dla kobiet. Zaczęła mu tłomaczyć, iż nie wszystkie kobiety i dziewczęta zajmują się wyłącznie strojami, ona sama zna takie, które niekiedy myślą, uczą się i pracują. Mówiła z ogniem, zapalała się broniąc sprawy kobiet przeciw lekceważeniu, z jakiem niektórzy ludzie nauki traktują ich zdolności intellektualne i bez wielkiego trudu wygrała sprawę, ponieważ Spero do tych przeciwników się nie liczył.

Nowa książka, której powodzenie było wielkie, otoczyła imię Jerzego promienną aureolą sławy: w najpierwszych salonach stolicy znalazł przyjęcie o jakiem inni nie śmią marzyć. Ledwie też młoda para zamieniła kilka wyrazów, stała się zaraz przedmiotem powszechnej uwagi przyjacioł domu: zarzucono Jerzego pytaniami, przerwawszy miłe sam na sam z Icleą. Jeden z głośnych krytyków poświęcił całe szpalty ostatniej książce filozofa, wszyscy o niej mówili, cóż więc dziwnego, że i tutaj stała się przedmiotem pogawędki. Iclea umilkła, pewna (kobiety zaraz to spostrzegą) iż bohater nią się zajął, że jego myśl niewidzialną nicią zawisła u jej myśli, a odpowiadając na błahe pytania duchem bynajmniej nie jest obecny rozmowie.

Zyskawszy wolną chwilę, Jerzy wyraził podziw nad malowniczością Norwegii i zaczął opowiadać szczegóły swej wycieczki do tego kraju. Pragnęła całem sercem usłyszyć jeden wyraz, choćby najlżejszą wzmiankę o powietrznem zjawisku, które odbiło się w jej duszy, niepojmując milczenia i osobliwej delikatności Jerzego. On nie widział zjawiska, w chwili gdy młoda panna wywołała je własną postacią, fenomen jednak nie był mu obcy, oglądał go nieraz w lepszych warunkach z łódki balonu, lecz nie ujrzawszy nic szczególnego, nie miał co o tem mówić.

Okoliczności towarzyszące wyjazdowi nie przyszły mu na myśl, czuł że zna tę dziewczynę, czy ją gdzie kiedy spotkał ręczyć nie może. Co do mnie poznałem ją natychmiast. Mój przyjaciel mówił o rzekach, jeziorach, górach i fiordach Norwegii, dowiedział się, że matka Iclei umarła bardzo młodo na chorobę serca, ojciec zaś przekładał Paryż nad wszystkie inne miasta, pewno więc ledwie czasem odwiedzą ojczyznę.

Zaznajomili się bardzo prędko. Wychowana angielskim obyczajem w niezależności ducha i swobodzie czynu, z której nasze kobiety dopiero po wyjściu za mąż korzystać mogą, nie krępowała się bynajmniej konwenansami, stojącemi na straży młodych panien. Dwie młodziutkie jej przyjaciołki przybyły do Paryża kończyć studya fortepianowe i zamieszkały razem z Icleą w nowożytnym Babilonie spokojne, bezpieczne, ani się domyślając okropności, jakiemi zdaniem wielu przepełniony jest Paryż. Młoda panna przyjmowała wizyty Spera z powagą, której nieobecny w tym czasie ojciec mógłby pozazdrościć, a po kilku tygodniach, powinowactwo usposobień i gustów złączyło młodą parę: pracowali już razem oddając się gorliwie naukowym poszukiwaniom. Prawie każdego dnia w popołudniowej porze, pod wpływem tajemniczej atrakcyi, młody mój przyjaciel szedł na Trocadero, aby przepędzić parę godzin z Icleą w bibliotece, na tarasie ogrodu lub na przechadzce w lasku.

Pierwsze wrażenie niebieskiego zjawiska utkwiło w duszy córy północy, widziała w Jerzym jeśli już nie pół-boga i bohatera, w każdym razie człowieka wyższego nad wszystkich. Wtajemniczywszy się w jego prace, nie ostygła bynajmniej zamiast uwielbiać, teraz już czciła mistrza.

Dziś, gdy osobiście jest jej znany, nie stracił na tem ani trochę i na piedestale swoim pozostał. Znalazła go tak szczerym, skromnym i dobrym, a pobłażliwym dla wszystkich, podczas gdy współzawodnicy wymierzali przeciwko niemu krytyki nader niesprawiedliwe, iż ukochała go prawie jak matka.

Czyli tego rodzaju uczucie przywiązania opiekuńczego istnieje już w dziewczętach? Być może faktem jest, że ukochała go po macierzyńsku zanim poznała inną miłość. Powiedziałem już, o ile mi się zdaje, że usposobienie Jerzego było skłonne do melancholii, do tej melancholii duszy, o której mówi Pascal, że jest nostalgią niebieską, szukał on ciągle odpowiedzi na wiekuisty problemat, *to be, or not to be*, hamletowskie: *być albo nie być*, prześladowało jego duszę. Za to, gdy czarne myśli strawiły się, że tak powiem, w poszukiwaniach, a wyczerpany umysł stracił siłę do pracy, przychodził spokój, rozpogodzenie, krew młoda zaczynała żwawiej krążyć, cały organizm się odradzał. Znikał filozof ustępując miejsca dziecku pełnemu naiwności, dziecku które wszystko bawiło, mającemu kobiece gusta do kwiatów, marzeń, muzyki i woni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rezygnacya.

Dawno gonić przestałam szczęścia złudne widmo,
I marzeń niespełnionych krainę obłoczną:
W oazie, u stóp palmy niech wybrani spoczną,
Dla mnie świat ten pustynią i piaszczystą wydmą.

Z cierpieniem od kolebki jam ściśle zbratana
I z niem też w jesień życia wkraczam nierozdzielnie;
Ono się wpiło w duszę niezgojoną raną,
Ono mi uczuć skarbiec zmieniło w pustelnię.

Nie żalę się, nie płaczę i skarg nie zawodzę,
Lecz przed Bożym wyrokiem z poddaniem się korzę,
Co mi stąpać rozkazał po ciernistej drodze

I czekam rychło błysną wybawienia zorze,
Rychło duch z pęt zwolniony po walce i trwodze
Poniesie hołd dziękczynny przed oblicze Boże.

Emilia.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Stangret Jan jest niedawnym sługą, świeżo przyjętym przez hrabiego X. ojca dwóch pięknych panien a męża wspaniałej hrabiny, na miejsce starego stangreta Piotra, który pijąc przez lat kilkanaście, przed miesiącem dopił się królestwa niebieskiego i jest w Wańkowcach dopiero od dwóch tygodni. Przez czas ten krótki, panie z pałacu, nie miały sposobności spotykania się i czynienia obserwacyi nad nowym stajennym, zresztą ludziom pozostającym u nas w służbie, nie zwykliśmy przyglądać się szczegółowiej, wiedząc z góry, że nie zobaczymy w nich nic szczególnego ani zajmującego; w tej chwili dopiero humor i oryginalne spostrzeżenia młodej hrabianki, zwracają na niego ogólną uwagę.

— To prawda — odzywa się z uśmiechem hrabina — ten chłopiec prezentuje się wcale nieźle, jest bardzo przystojny i posiada twarz pociągającą, a nawet bardzo charakterystyczną. Możemy powinszować ojcu, że zrobił dobry wybór, przyjmując tego człowieka, który w liberyjnym płaszczu, lepiej daleko wyda się na koźle, niż nieboszczyk Piotr, wiecznie nietrzeźwy i przygarbiony!

— Ależ mateczko, to nie jest to, co mnie w nim uderza! — żywo odpowiada dziewczynka. — Nie mówię tu bynajmniej o urodzie, ani wyglądaniu przyzwoitem w dworskiej barwie, ale o tem czemś, co uderza w nim dziwnie nie zgadzając się właśnie wcale ze stajenną odzieżą. Proszę, patrzcie tylko na tę szlachetność postawy i ruchy swobodne, niemal salonowe!

— Nic to dziwnego, lud nasz podolski, jest w ogóle bardzo piękny i nie trudno znaleźć pośród niego nawet portretowe postacie! — odpowiada panna Antonina, oparta na ramieniu siostry, patrząc śmiejącemi oczami z za firanki, w stronę przedmiotu obserwowanego.

— Ależ — przerywa niezadowolona jeszcze dziewczynka — to wcale co innego! Lud nasz jest piękny prawda i posiada typy prześliczne, charakterystyczne, butne i oryginalne, żaden z nich przecież nie uderza tem, co ma w sobie ten człowiek, który także nie wygląda na tubylca bynajmniej! Nasz Jan jest osobą dystyngowaną. — Kończy żartobliwie.

— Ah! dystyngowaną! — zaprzecza śmiejąc się także panna Antonina, podczas gdy hrabina podnosi do oczu złote binokle.

— Naturalnie! odrzuć tylko tę kurtkę płócienną, te buty stajenne i kapelusz z galonem, które szpecą zawsze ludzi i najpiękniejszej postaci nada-

jąc jakąś przygnębiającą, służalczą cechę. Wystaw sobie tego chłopca we fraku, z szapoklakiem pod ręką, w rzęsiście oświetlonym salonie, albo w tużurku najświeższej mody, rzuconego niedbale, na poduszki eleganckiego powozu, unoszonego przez pyszną czwórkę!

W tej chwili, w ganku ukazuje się człowiek lat średnich, wysoki, rosły, o twarzy spokojnej i szlachetnej, z gęstym ciemnym zarostem, przyprószonym już mocno siwizną. Jest to hrabia X. Spostrzega swe panie w oknie i kłania im się z uśmiechem, poczem schodzi ze schodów zwolna do konia.

Ujrzawszy hrabiego Jan, budzi się z zamyślenia, zarzuca szybko cugle na szyję siwka i lewą ręką chwyta strzemię pańskie, podczas gdy w drugie, kładzie hrabia swą nogę. Przy tem prostem zajęciu, ruchy młodego stajennego, są nadzwyczaj składne i eleganckie i trzy pary czarnych oczu, patrzące z za grubej kryształowej szyby, uważają to bardzo dobrze.

Po chwili hrabia siedzi już w kulbace, na grzbiecie niecierpliwie miotającego się siwka.

— Słuchajno Janie — mówi zwracając konia ku wjazdowej bramie — a nie zapomnij punkt o czwartej wyjechać z domu, abyś na wpół do piątej stanął już koniecznie w Czarnym-Ostrowie. Państwo, którzy przyjadą na stacyę lwowskim pociągiem, nie powinni czekać na ciebie ani chwili!— mówiąc to hrabia, puszcza konia wolnym stępem i odjeżdża z przed ganku, nie słuchając nawet, służbistego:

— Nie spóźnię się, jaśnie panie! — którem odpowiada mu stangret.

Rozkaz hrabiego dochodzi do okna salonu, przypomina nagle paniom, to o czem w tej chwili zapomniały najzupełniej, to jest, że oczekują gości, dalekich krewnych z okolic Lwowa, którzy najdalej za dwie godziny, powinni tu być w Wańkowcach.

Hrabina uchyla okno i przywołuje do siebie stangreta.

— Mój Janie, proszę ciebie, nie spóźnij się tylko na stacyę — mówi łagodnie. — Lepiej już wyjedź z domu trochę wcześniej, abyś tylko zdążył na pociąg z pewnością! Państwo którzy przyjadą od granicy, są tutaj zupełnie obcy i nie wiedzieliby gdzie się obrócić, gdyby nie zastali czekającej ich karety!

— Dobrze, jaśnie pani, konie już gotowe, będę zaprzęgał natychmiast i wyjadę za chwilę.

Hrabina zadowolona, pochyla nieco głowę i przymyka okno, stojące przecież obok niej panny, mają przez tę chwilę dość czasu, aby zaobserwować, że czoło młodego stangreta, gdy je odsłonił, zdejmując przed panią kapelusz, jest jak na prostego człowieka dziwnie piękne i myślące, a śliczna Aneczka, uważa jeszcze oprócz tego, iż ruch z jakim odkrywał głowę przed ich matką, przypominał raczej dworską galanteryę mężczyzny dla damy, niżli bezmyślny respekt sługi dla swej pani.

Śliczna dziewczynka, patrzy też bardzo ciekawie na młodego stajennego, który także z uszanowanowaniem i bardzo poważnie, ale uważnie i przenikliwie, pominąwszy samą panią, zagląda szaremi, pięknemi oczami w głąb' pokoju, za koronkową firankę, gdzie z za ramienia matki, wychylają się urocze dwie twarzyczki różane i dwie pary czarnych oczu, podobnych do siebie, nieco tylko różnego odcienia i blasku.

Za chwilę okno jest już zamknięte, hrabina odchodzi od niego i zdejmuje z oczu binokle.

— To już trzecia — mówi patrząc na zegarek— a ja nie wiem nawet, czy panna Jadwiga przygotowała już wszystko jak należy, na przyjęcie naszych gości. Dzięki twem szaleństwom, Anno, zapomniałyśmy zupełnie, o przyjeździe naszych krewnych i zmarnowałyśmy całe półgodziny, zamiast zająć się przygotowaniem pokoi dla ciotki i kuzynek!

— I spędzając te półgodziny bardzo pożytecznie nad obserwowaniem własnego sługi! — dorzuca śmiejąc się panna Antonina.

Hrabina śmieje się także.

— To prawda! czegóż ten dzieciak nie dokaże i do czego nas nie podkusi! — Mówi żartobliwie, patrząc z dumą i skrytem uwielbieniem, na śliczną dziewczynkę, która jest jej dzieckiem najukochańszem. — Za karę panno Anno, porzuć tę koronkę, zbierz się i pójdź do panny Jadwigi, dowiedz się, jak i co tam urządziła i pomóż jej, jeśli tego potrzeba.

Panna Anna powstaje zwolna i składa robotę, składając przecież nici i kościane wałeczki do koszyka, wysyła jeszcze jedno żywe spojrzenie za okno, ale śmiejąc się, odsuwa się nagle od szyby, bo spotyka w połowie drogi długie spojrzenie szarych oczu Jana, który oddalając się w stronę stajni ogląda się jeszcze na okno salonu.

II.

Nazajutrz w Wańkowcach, jest bardzo wesoło, oprócz domowego, dość licznego kółka osób, któremu obecność młodych, pięknych panien dostarcza zawsze życia i wdzięku, przybyli tu jeszcze goście galicyjscy, którzy zwiększyli znacznie ruchliwość i gwarność tego wesołego gronka.

Gości tych jest czworo: niemłoda pani Y, daleka krewna, stryjeczno-cioteczno-wujeczna siostra czy coś podobnego, samej gospodyni domu, kobieta bardzo chłodna, dumna, nieco zmienna i jak to bywa najczęściej, pomiędzy starą arystokratyczną generacyą galicyjską, krojąca grubo na oryginała. Niezmiernie przecież bogata, posiadająca rozległe dobra z dwoma pałacami i miasteczkiem w okolicy Tarnopola i podpisująca się stale hrabiną, choć w gruncie rzeczy, urodziwszy się tylko hrabianką, a wyszedłszy następnie, za zwykłego bogatego szlachcica, straciła do tego tytułu raz na zawsze prawo. Pseudo-hrabinie towarzyszy troje jej dzieci: starsza córka, dwudziesto-ośmioletnia panna Marya, dość piękna, dystyngowanego pozoru osoba, troszkę emancypantka, troszkę chorująca na rozum sawantka, kopiująca usilnie młode, wiecznie wojażujące angielki i drapująca się na ich wzór wiernie. Młodsza córka Wanda, nie piękna, ale żywe i dowcipne dziewczę dwudziestoletnie, trochę rude i mocno piegowate, i syn średni, dwudziestoczteroletni młodzieniec, idealnie piękny ulubieniec matki, która jedynaka swego do tego uwielbia stopnia, iż jak twierdzą dobrze wtajemniczeni, myśli nawet w rozporządzeniu majątkowem, urządzić maleńką krzywdę córek, na jego korzyść.

Osobistość młodego hrabiego, jak stale tytułuje go matka, usprawiedliwia to gorące przywiązanie do pewnego stopnia. Jest to bardzo elegancki chłopiec, średniego wzrostu, dziwnie kształtny i szykowny, ciemny blondyn, o włosie wpadającym nieco w kolor warkoczy młodszej siostrzyczki, o tyle przecież tylko, że posiada mocny odcień roztopionego złota, co odbija cudownie od cery twarzy bladawej, dziwnie delikatnej jak na mężczyznę i oczu czarnych, wielkich, ocienionych jedwabistą czarną rzęsą. Zresztą, jak mówi hrabina, syn jej przez całe życie, nie sprawił jej żadnego, najmniejszego choćby zawodu i urzeczywistniał wszystkie jej marzenia i plany, jakie roiła sobie przy jego kolebce Najpierwszem takiem zadowoleniem pragnień matki, była jego piękność. Pragnęła mieć go pięknym, powinien był być takim i stał się nim istotnie. Kiedy w sześć tygodni po jego urodzeniu, hrabina siedząc pochylona nad spoczywającem w poduszkach maleństwem, rozmyślała nad imieniem, jakie nadać miała swemu jedynakowi, a ojciec szlachcic sobie, ot taki prosty i niepojmujący wymagań hrabiowskiej swej małżonki, z kalendarzem w ręku wyliczał z kolei 360 świętych i patronów, przypadających w ciągu roku, probując czy imię którego z nich nie wpadnie mile w ucho egzaltowanej młodej matki i nie nada się do postaci małego, różowego aniołka, wówczas to patrzącej na twarzyczkę dzieciny, wyglądającą z koronek i haftów poduszek, na długie ciemne rzęsy i główkę pokrytą delikatnym włosem złocistym, przyszło na myśl ażeby nazwać go Endymionem. Była to bardzo ryzykowna i śmiała fantazya. Endymionek mógł był wyrość na brzydkiego, niezgrabnego Endymiona, a w takim razie, imię to wraz z postacią, zmieniłoby się w karykaturę. Powinien był być pięknym! Matka powiedziała to sobie zaraz w tej chwili, gdy pochylona stała nad jego poduszką i odtąd była to rzecz, o którą modliła się najgoręcej. Ile z tego powodu przebyła trosk, kłopotów i niepokoi, ile nie przespała nocy, ile łez wylała w ukryciu, tego nikt nie zdołał policzyć. Osobliwie, kiedy w lat kilka po urodzeniu chłopca, silna ospa nawiedziła okolicę i nie było prawie domu, gdzieby nie znalazła sobie ofiary i później, gdy dwunastoletni już Endymionek, począł rozwijać się i rozrastać w sposób niesłychanie przypominający ojca i młodszą siostrzyczkę, wówczas jak twierdziła hrabina, była w wielkiej w prawdziwej rozpaczy, schudła i wymizerniała z niepokoju, był nawet czas, w którym chcąc ochronić syna od śmieszności, zaprowadziła go do bierzmowania i na tym drugim Sakramencie dodała mu imię Ignacy, chcąc tym sposobem zarezerwować mu w razie brzydoty, nazwę mniej kompromitującą.

Wkrótce przecież obawy te minęły bezpowrotnie. Po dwóch latach, Endymionek począł wyrastać tak pięknie, tak potrochu wyzwalać się z rodzinnej podobizny, że można było śmiało pozostawić go Endymionem. Z ojcowskiego typu, pozostały mu tylko włosy złociste, które zamiast szpecić chłopca, dodawały mu tylko więcej jednego wdzięku. Matka uwielbiała za to swojego syna, twierdziła stanowczo, że chłopiec aby ją zadowolić wyrosł tak pięknie i była mu za to wdzięczną z całej duszy.

Zresztą, Endymion zadawalniał ją i pod każdym innym względem: był zdolnym, uczył się dobrze i skończył szkoły w Krakowie bez zarzutu, następnie przebył rok jeden w Wiedniu, słuchając prawa, drugi w Berlinie, uczęszczając na filozofię, potem dwa lata w Paryżu, gdzie studyował prywatnie chemię i w ogóle nauki przyrodzone i powrócił z tamtąd bardzo miłym, wesołym, dowcipnym i eleganckim chłopcem, do domu, gdzie po śmierci ojca objął zarząd dóbr, na którym nie znał się ani trochę. Nieznajomość ta nie szkodzi przecież pięknemu i bogatemu paniczowi bynajmniej: posiada majątek taki, że może mieć ludzi płatnych, którzy wyręczają go w tem doskonale. On sam odbiera tylko pieniądze, wydaje je następnie z cudownym talentem i zachwycającą pańską niedbałością. Bawi

się wybornie, uchodzi w okolicy za bardzo miłego i rozumnego chłopca i jest w domu bożyszczem, za jakie uważają go matka i siostry.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

TEATR.

Hrabina Sara, komedya w pięciu aktach, Jerzego Ohneta, przekład Zygmunta Sarneckiego.

Przeciętny Warszawianin, znajdujący się na pierwszem przedstawieniu „Hrabiny Sary" dziwnego doznał wrażenia. Podziwiał znakomitą grę naszych artystów, wyborne uscenizowanie, śliczną wystawę, a jednak czuł instynktowo, że tam czegoś brakuje.

Gdyby na afiszu nie figurowało imię Ohneta powiedziałby niezawodnie: to poroniony wysiłek trudów jakiegoś poczynającego autora, ale któż może w ten sposób odezwać się o utworze głośnego w całym świecie pisarza?

To samo zawsze prawie ma miejsce, gdy jaka słusznie czy niesłusznie wyniesiona na piedestał sławy osobistość, napisze utwór słaby, nudny i pozbawiony konsekwencyi, ganić nie śmiemy, chwalić nie możemy, tracąc więc wiarę we własny sąd oglądamy się na zdanie innych.

W gruncie rzeczy hrabina Sara chociaż nie dorównywa „Właścicielowi kuźnic", a nawet „hrabiemu Paninowi" (cudzoziemiec), jest sztuką sensacyjną, mogącą w środkowych szczególniej aktach, podrażnić nerwy mniej wybrednych słuchaczów. W Paryżu robi kasę, bo nadsekwańscy mieszkańcy zepsuli sobie smak przeróbkami mieszczańskich romansów na scenę, u nas utrzyma się w repertuarze dzięki godnej najzupełniejszego uznania gry artystów.

Treść owej przeflancowanej z powieści na deski teatralne kreacyi jest następująca:

Pięćdziesięcioletni hrabia de Canalheilles, generał wojsk francuzkich poznaje we Włoszech Sarę O'Donnor bogatą pannę, którą milionowi anglicy kupiwszy dzieckiem od bandy koczujących cyganów, za swoją córkę przyjęli. Naturalnie, że stary pokochał nadobną Gitanę, ona zaś pomimo, iż miłość do młodego i przystojnego Piotra de Seweraс, adjutanta generała, zawładnęła jej sercem, oddaje rękę hrabiemu mszcząc się tym sposobem nad obojętnością swego ideału.

O wszystkich tych szczegółach dowiadujemy się nie za pomocą akcyi lecz z rozmowy postronnych osób, które przez cały pierwszy akt stanowiący ekspozycyę sztuki, wchodzą, wychodzą, prowadząc niezmiernie długie i nudne pogawędki. W drugim dopiero akcie zaczyna się intryga. Widzimy nowożytną Putifarę narzucającą swą osobę niewinnemu Józefowi. Biedak broni się jak może: chce uciekać daleko, do Afryki, trudno! Putifara za płaszcz trzyma i puścić nie chce. Położenie młodzieńca tym godniejszem jest pożałowania, że kocha tajemnie Biankę de Cygne, siostrzenicę swego dowódzcy, a oświadczyć jej się nie śmie. Pomimo jednak tego, gorącej krwi cyganka zwycięża skrupuły adjutanta, a trzeci akt pokazuje nam wszystkie skutki spływające na rodziny wtedy gdy nieprawa miłość rozsiądzie się u domowego ogniska. Sara rozpacza bo kocha bez wzajemności, pan de Severac rozpacza bo czuje wyrzuty sumienia, Bianka ukrywa męczarnie zranionego serca, pułkownik Merlet współtowarzysz generała klnie na czem świat stoi, mnóstwo osób przesuwa się epizodycznie przez scenę, stary tylko wojak, zwyczajnie jak mąż, nie wie o niczem. Wprawdzie bardzo mało brakło ażeby nie dowiedział się o swem... nieszczęściu, gdyby adwokat Frossard nie upozorował zręcznie schadzki winowajców, twierdząc że jego przyjaciel przyszedł nocną porą do altany ogrodowej jedynie w celu proszenia Sary o rękę siostrzenicy jej małżonka. Łatwowierny generał uważając tyle nieprawdopodobne objaśnienie za rzecz możliwą, łączy czułą parę i byłby zapewne do końca swego żywota pozostał w grubej nieświadomości o grzeszkach pięknej małżonki, gdyby ona sama podburzona szałem zazdrości, wszystkiego mu nie wyznała. Osiwiały na polach bitew rycerz, przyjmuje ten cios z chwalebną rezygnacyą. Przygnębiony lecz pełen pobłażania zarazem, wywozi zbłąkaną owieczkę do rozkosznej willi ażeby ją wyleczyć z niefortunnej miłości. Tam pod błękitem uroczego nieba, dotknięta cierpieniem sercowem Gitana wpatruje się w gwiazdy, zrywa wonne róże, poi zapachem rezedy i marzy o zatraconym ideale, aż nakoniec podrażniona wiadomością, iż państwo de Severac są najzupełniej szczęśliwi oczekując powiększenia rodziny, rzuca się w modre fale jeziora i ginie marnie.

Otoż i wszystko. Cnota Bianki została wynagrodzoną, występek niewiernej żony ukarany, czegóż można żądać więcej?

Temat niewierności małżeńskiej był tyle razy obrabiany na różne sposoby, iż patrząc na dzieje nieprawej miłości, zdaje się widzieć znane oddawna rzeczy. Wprawdzie nie ma nic nowego pod słońcem, ale Oktawiusz Feuillet i Aleksander Dumas, potrafili te oklepane epizody ubarwić pięknym stylem, ożywić ruchem scenicznym, podnieść potęgą twórczego talentu. Sam Ohnet nawet w „Właścicielu kuźnic" zdołał zaciekawić tłumy nie nużąc rozwlekłością.

W „Hrabinie Sarze" jednak werwa jego pobladła i zmalała a talent zszedł do poziomu powszedniej prozy życia. „Hrabina Sara" nie jest właściwie komedyą, nie jest dramatem, to romans przykrojony na scenę, poćwiertowany na części, w którym przygotowawcza akcya potrzebuje całego pierwszego aktu i połowy drugiego ażeby rozruszać się cokolwiek. Dykcya traci częstokroć trywialnością, niektóre charaktery jak np. Bianki, skreślone blado, szablonowo, wodnisto; bohater sztuki, kochanek, wydaje nam się poprostu idyotą, który niemając własnego zdania popychany bywa w różne strony przez wszystkie wchodzące do komedyi osoby. Jedynym sensacyjnym epizodem rzeczonego utworu jest scena trzeciego aktu pomiędzy hrabiną a Piotrem, jedynym zaś komicznym efektem ciągłe chrząkanie półkownika Merlot. Bieg sztuki leniwy, powolny, wyradza w widzu znużenie, przerywa tylko od czasu do czasu jakimsić wybitniejszym szczegółem, przypominającym iż twórcą tej nudnej epopei niewiary małżeńskiej jest znany powszechnie powieściopisarz i dramaturg Jerzy Ohnet.

Jak powiedzieliśmy wyżej, gra artystów nie pozostawiła nic do życzenia. Panna Marcello odtworzywszy namiętną córę południa, potrafiła zapanować nad ognistym swoim temperamentem. Panowie: Leszczyński, Rapacki, Tatarkiewicz i Kotarbiński uwydatnili wszystkie dodatnie strony swych ról, zacierając ujemne, co szczególniej trudnem było zadaniem dla ostatniego, który zdołał pomimo woli autora nawet, nadać nieruchliwej postaci bohatera komedyi pewien sympatyczny odcień. Utalentowana nasza naiwna, panna Czaki, otrzymała tym razem najzupełniej niewłaściwą dla siebie rolę, dziwić się zatem nie można, że nic z niej zrobić nie mogła. Wszyscy inni zbyt małe mieli szranki do popisu; uzupełniwszy jednak całość w sposób zadawalniający najwybredniejsze nawet wymagania, dowiedli że publiczność nasza ma niezaprzeczone prawo chlubić się swoją sceną.

Ludwik Niemojowski

KATARZYNA LEVALLIER,

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Żądasz pan abym wydał sąd o artystach! — zawołał — otóż powiem panu, że w istocie uczucia ich i wrażenia przechodzą miarę pospolitych ludzkich namiętności. Twierdziłeś pan, że my rządzimy się tylko kaprysem i fantazyą i miałeś pan słuszność ale to trwa dopóty, dopóki się szczerze nie zakochamy. Jesteśmy lekkomyślni i niewierni, słowem posiadamy mnóstwo wad, nie przeczę temu bynajmniej, lecz skoro spotkamy wymarzony przez siebie ideał, cała istota nasza ulega zupełnemu przeobrażeniu. Wtedy każdy z nas gotów jest przelać ostatnią kropelkę krwi za tę, którą ukochał. Wyrzekamy się woli i chęci a stajemy się niewolnikami wybranej przez nas istoty. Najdroższym dla nas wawrzynem jest uśmiech ukochanej kobiety, największem szczęściem wymowne spojrzenie... Żaden tryumf nie może się równać rozkoszy jakiej doznajemy gdy różane jej usta szepczą nasze imię... Szeptu tego nikt nie słyszy i my go nawet odgadujemy tylko...

— Nikt! — powtórzył głucho Maksym.

— Tak, nikt, z wyjątkiem nas tylko — odparł z mocą Lucyan — ten szept, te gorące choć tajemne uderzenia serca, są naszą wyłączną własnością i nikt nam tego wydrzeć nie potrafi... Zdarza się jednak, że ideał napotkany nie jest istotą wolną, że kobieta skrępowana obowiązkami odpycha nas od siebie, że cierpi sama i nam rozdziera serce, o! wtedy, wierzaj mi pan, że podobne rany nie zabliźniają się nigdy!

— W takim razie — zaczął Maksym z dziwnym jakimś w głosie akcentem, artyści dobrze robią, że wyłamują się z pod ogólnych praw rządzących światem, świat bowiem zaliczyłby ich do kategoryi podłych.

Katarzyna czuła, że siły ją opuszczają, rozumiała aż nadto dobrze, że burza lada chwila wybuchnąć musi, że dwaj ci ludzie śmiertelną z sobą staczają walkę.

Napróżno wzburzony jej umysł szukał sposobu zażegnania wybuchu; była tak przerażoną że słowa zamierały jej na ustach.

— Boże! Boże! — mówiła w duszy — co się stanie jeśli nie zdołam przerwać tej rozmowy?... Teraz obydwaj błąkają się jeszcze w ciemnościach, lecz każdy z nich szuka zaczepki a dość jednego słowa aby uderzył piorun, który zdruzgocze spokój i szczęście jednego z nich.

I biedna kobieta siłą woli starała się zapanować nad sobą, lecz w umyśle jej powstał nieopisany zamęt, pulsa biły w skroniach gwałtownie, zdawało jej się, że jakaś dłoń żelazna ciśnie jej czoło a twarz trupią pokryła się bladością; chciała wstać lecz upadła ciężko na fotel, głębokie wydając westchnienie. Głowa zwisła jej bezwładnie na ramię, zemdlała.

Lucyan jednym skokiem znalazł się tuż przy niej.

— Zemdlała! — krzyknął z najwyższą rozpaczą.

Lecz Maksym odsunął go ruchem ręki, mówiąc:

— Odstąp pan, proszę.

W obec niego nikt nie miał prawa ratować Katarzyny.

Młoda kobieta spoczywała wciąż bezwładna, z głową w tył przechyloną i zamkniętemi oczami.

— Kasiu!—zaczął Maksym ujmując jej rękę — Kasiu, czy ty mnie słyszysz.

Na bladej twarzy młodej kobiety nie drgnął żaden muskuł, usta nie wydały tchnienia, wtedy nieopisana trwoga zbudziła się w sercu pana Levallier.

Zwracając się do rywala, rzekł rozkazującym tonem:

— Zawołaj pan Genowefy.

Zostawszy sam, pochylił się nad martwą postacią Katarzyny z której mniemał że życie uleciało już na wieki; nieruchomość jej przerażała go do najwyższego stopnia. W obec tego cierpienia czuł się słabym jak dziecię; pomimo obojętności żony kochał ją niezmienną zawsze miłością!

Przyłożywszy jednak rękę do serca dostrzegł z radością słabe jego uderzenia. W jednej chwili odzyskał zimną krew: pobiegł do okna, otworzył je szeroko i poprawiwszy zemdloną w fotelu, sam w bolesnem pogrążył się dumaniu.

Czyżby nie lepiej było dla niej, aby nie zbudziła się wcale? Byłaby daleko szczęśliwszą, gdyż przestałaby cierpieć. Dla nieszczęśliwych czyż nie najlepszem lekarstwem spokój grobowy?

— Lecz coby się wtedy ze mną stało? — myślał. — Tak długo wierzyłem w szczęście, które zniknęło jak sen uroczy, że wspomnienie o niem pozostanie na zawsze świeżem i miłem dla mnie. Teraz musi mi wystarczyć świat zamarłej nadziei, który jak owe przygasłe planety świeci smutnem i bladem światłem.

W skutek dziwnej reakcyi umysł jego zwrócił się w inną zupełnie stronę a zamiast przykrych, bolesnych myśli, przed oczami jego duszy zaczęły się przesuwać weselsze obrazy.

Widział Katarzynę piękną, poważną, w białym welonie, z mirtowym wiankiem na włosach, gdy klęcząc koło niego przysięgała mu wieczną miłość.

Zdawało mu się, że słyszy poważne dźwięki organów, że oddycha pomieszaną wonią kadzideł i kwiatów.

Przyjazne szmery przyjaciół dochodziły do uszu państwa młodych; jedni szczerze życzyli im szczęścia, drudzy zazdrościli Maksymowi, i w istocie pan Levallier godzien był zazdrości, rozpoczynając nowe życie pod tak dobrą wróżbą.

W tej chwili przypomniał sobie, że tylko światła rozstawione w ciemnej nawie kościelnej przykre uczyniły na nim wrażenie. Zdawało mu się, że to pochodnie pogrzebowe, lecz natychmiast rozśmiał się w duchu, mówiąc sobie, że w istocie poświęca się cały ukochanej kobiecie, tonąc w jasnowidzeniu nadziemskiej rozkoszy.

Słowa Pisma świętego: *Co Bóg złączy człowiek rozłączyć nie może*, przejęły go głęboką dla Boga wdzięcznością. Teraz śmierć tylko rozdzielić ich może... radość i wesele, smutek i cierpienie, wszystko odtąd wspólnie znosić mieli...

O takiejto przyszłości marzył właśnie pan Levallier... Zdawało się, że marzenia jego ziściły się w zupełności; nagle czar prysnął i biedny człowiek ujrzał się znów samotnym i opuszczonym.

Katarzyna nie kochała go nigdy; pomyliła się co do znaczenia własnych uczuć, przyjaźń nazwała miłością, trudno więc było posądzać ją o nieszlachetność lub kłamstwo.

Była szczerą zupełnie w chwili, gdy przysięgała wieczną miłość dobrowolnie przez siebie wybranemu człowiekowi.

Gdy zaś wypadek czy też logiczne następstwo faktów dało jej poznać popełnioną omyłkę, cofnęła swoje przywiązanie z chłodną, okrutną obojętnością... Maksymowi serce pękało z bólu.

W tej chwili weszła Genowefa a za nią zwolna postępował Lucyan. Młoda dziewczyna jednym rzutem oka objęła całe położenie i więcej przeraziła się wyrazem twarzy brata niż zemdleniem Katarzyny.

— Uspokój się — rzekła zwracając się do Maksyma — nic jej nie będzie; patrz, już zwolna odzyskuje przytomność.

Mówiąc to Genowefa spojrzała w oczy Lucyanowi i westchnęła nad jego niedolą. Poczem zaczęła jakimś eterem rozcierać skronie i pulsa bratowej i wkrótce też policzki młodej kobiety delikatnym zabarwiły się rumieńcem, odetchnęła głęboko i zwolna otworzyła oczy.

— Niedobra jesteś Kasiu — rzekła jej łagodnie młoda dziewczyna — nabawiłaś nas takiej trwogi i niepokoju.

Katarzyna nie mogła zdobyć się na odpowiedź; Genowefa ściskała ją i tuliła do siebie pieszczotliwie a widząc, że młoda kobieta drży na całem ciele, zlękła się o nią aby powtórnie nie zemdlała.

Przeczuciem kobiecem odgadła, że Katarzyna pragnie samotności i że obecność tak Maksyma jak i Lucyana zarówno jest dla niej przykrą.

— Kasia potrzebuje spoczynku — rzekła — muszę ją odprowadzić do jej pokoju.

I otoczywszy ramieniem kibić bratowej skierowała się ku drzwiom. Na progu odwróciła się mówiąc:

— Za chwilę przyniosę panom wiadomość o jej zdrowiu.

— Dobrze, dobrze — odparł pan Levallier, który w obec zimnej krwi Genowefy odzyskał całą przytomność umysłu.

Ruchem ręki wskazał malarzowi krzesło. Twarz jego blada i nieruchoma jak marmur, nie zdradzała bynajmniej przebytych przed chwilą wzruszeń.

Lucyan mniej umiejący panować nad sobą, chciał uniknąć przykrego sam na sam z panem Levallier, to też rzekł obojętnie:

— Dziękuję panu.

I zabierał się do wyjścia.

— Odchodzisz pan — zapytał Maksym.

— Tak, panie; przyjdę wieczorem jeśli pan pozwolisz.

— A dlaczegóż chcesz pan odejść? Czy masz pan jaki ważny do załatwienia interes?

— Bynajmniej.

— A więc?...

— Uważam, że byłoby niedelikatnością z mej strony pozostać tu dłużej w tej chwili...

— Mylisz się pan w zupełności...

— Po tym jednak co zaszło...

— O! Genowefa troskliwiej niż ja potrafi pielęgnować Katarzynę. A kiedy już los przykry skazał pana na dotrzymywanie mi towarzystwa...

— Panie...

— Nie utwierdzaj mnie pan w przekonaniu, że go wystraszam swoją obecnością—dokończył Maksym nie zwracając uwagi na przeczący wykrzyknik malarza. — Bardzo mi będzie przyjemnie gawędzić dalej z panem, tem więcej, że chciałbym w jednym względzie zasięgnąć pańskiego zdania.

— Żądasz pan ode mnie rady? — spytał Borrèze z nieudanem zdziwieniem.

— Nie inaczej, jeśli to panu nie sprawi przykrości. Możemy rozmawiać zupełnie swobodnie, gdyż nikt nam w tej chwili nie przeszkodzi. Proszę tylko abyś mi pan szczerze odpowiadał. Czy zgoda? — zapytał pan Levallier, spoglądając badawczo w oczy malarzowi.

— Jestem na pańskie rozkazy — rzekł Lucyan z lekkim ukłonem, rad w duszy, że znalazł się pozór zmuszający go poniekąd do zostania.

— Artyści, więcej niż inni ludzie mają wydoskonalone poczucie piękna — zaczął pan Levallier — dlatego też zwracam się do pana z zapytaniem, czy piękna należy szukać jedynie wzewnętrznych tylko kształtach?

— Zewnętrzne kształty nie są wyłącznem uosobieniem piękna — odpowiedział Borréze, lecz pozostaną zawsze najpiękniejszym jego przejawem...

— Tak jest, lecz to tylko pozór — zaczął Maksym. — Zdaje mi się jednak, że poczucie piękna w każdej zbudzić się może piersi. W przeciwnym razie byłoby na świecie zbyt wiele pokrzywdzonych istot. Bóg musiał to przewidzieć, wlewając w duszę człowieka zamiłowanie nietylko uroczych form zewnętrznych, ale także skarbów uczucia, dobra, piękna i miłości, to jest wszystkiego co ma styczność z estetyką. Wszak i w tym razie mogę zasięgnąć pańskiej rady? Pan się znasz na tem lepiej ode mnie.

Pan Levallier mówił to wszystko spokojnym, swobodnym tonem, wspierając się plecami o marmurowy kominek salonu.

Wśród zapadającego zmroku, wyniosła silna jego postać wydawała się jeszcze potężniejszą.

Lucyan podniósł wzrok na mówiącego, zdziwiony że tenże w podobnej chwili potrafi z taką rozmawiać swobodą.

Pozorny ten spokój i siłą woli wygładzone rysy, w błąd wprowadziły Lucyana. Widocznie pan Levallier traktował kwestyę ogólnie, nie stosując swych zasad do nikogo. Chciał być jedynie uprzejmym gospodarzem, w przeciwnym razie twarz jego nie wyrażałaby tej drażniącej pewności siebie.

Przypuszczenie to uspokoiło w zupełności Lucyana, który też rzekł swobodnie:

— Zaufanie pana przynosi mi zaszczyt, lecz zdaje mi się, że jesteś pan w błędzie. Teraz ludzkość zapatruje się na tę kwestyę z innego punktu widzenia.

— To wielka szkoda a nawet błąd ogromny.

— Realizm panujący teraz wszechwładnie w sztuce, raczej chorobą niż błędem nazwać można. Dążność ta z czasem zmienić się musi lecz niemniej wiele wyrządzi szkód w dziedzinie estetyki. Większość artystów dąży teraz jedynie do wiernego odtwarzania natury, lecz takie bezwzględne naśladownictwo bez przymieszki odrobiny poezyi, wpada częstokroć w niemiłą przesadę. Nie mówię, aby artysta miał czerpać każdy pomysł jedynie tylko ze swojej fantazyi, owszem, niech bada naturę, gdyż jest ona zawsze świeżą skarbnicą nieprzebranego piękna, lecz niech pamięta, że nie wszystko da się wyidealizować. Malarzowi nie wystarcza tak jak poecie myśl lub słowo, on musi ujrzéć przedmiot lub osobę, która zachwyci jego zmysły i kierować będzie jego natchnieniem. Bez tej bożej iskierki, którą nazywamy natchnieniem, artysta choćby najlepiej umiał rysować, choćby wszystkie tajniki barw i cieni nie były mu obcemi, nie dosięgnie nigdy doskonałości i nie potrafi wyrazić ani piękna ani miłości.

— No, to chyba nie byłby prawdziwym artystą.

— Jakże go nazwiemy inaczej?

— W każdym razie nie może równać się z artystą, posiadającym szerszy polot wyobraźni... Lecz jeśli mnie pamięć nie myli, niedawno byłeś pan przeciwnego zdania. Być może, że powodem tej zmiany przekonań jestem ja, którego jako profana nie uważasz pan godnym do przestąpienia progu świątyni poświęconej sztuce.

— Jak możesz pan przypuścić coś podobnego.

— Taki ostracyzm zmartwiłby mnie niewymownie.

— Ale upewniam pana, że się mylisz...

— Sądzę, że nie tak bardzo — przerwał mu Maksym i w istocie masz pan słuszność, gdyż nic a nic nie znam się na sztuce. Nie umiałbym nawet odróżnić arcydzieła od najpospolitszego utworu... Skoro jednak idzie o uczucia ludzkie, to chociażbym może nie potrafił ich dokładnie wyrazić, odróżnię doskonale szlachetne popędy od złych i przewrotnych skłonności, poznam gdzie kończy się panowanie rozumu a zaczyna zwierzęcość, jednem słowem, gdy idzie o estetykę moralności, sądzę, że panu dorównam i że zdanie moje będzie miało pewną powagę.

Ostatnie słowa pana Levallier zakrawały na zaczepkę. Lucyan milczał zamyślony.

— Może posądzisz mnie pan o zarozumiałość?— spytał pan Levallier po krótkiej chwili milczenia.

— Ależ bynajmniej...

— Odpowiedz mi więc szczerze. Zwracam się teraz do człowieka nie do artysty.

— Mów pan, proszę.

— Gdy miałem przyjemność poznać pana wygłaszałeś pan wtedy bardzo wzruszające teorye. Pamiętam pańskie opowiadanie o bolesnym dramacie życiowym, którego bohater pełen szczęścia i nadziei odjechał w świat za poszukiwaniem sławy a wróciwszy zastał narzeczoną na marach.

Na te słowa Lucyan zadrżał, jakaś niewytłomaczona trwoga ścisnęła go za serce. Podniósł się żywo z krzesła pytając niepewnym głosem:

— I jakiż wniosek wyciągnąłeś pan z mojego opowiadania?

— Ten, że nieszczęście jest nietylko próbą w której hartuje się dusza szlachetnego człowieka, ale także i najlepszą szkołą prowadzącą do wydoskonalenia się w sztuce.

— Trafnie pan określiłeś — odparł Borrèze. — Dusza odradza się przez cierpienie.

— Tak jest, lecz tylko wtedy jeśli z walki wychodzi czystą i nieskalaną — rzekł pan Levallier a po krótkiej chwili milczenia dodał:

— Czy znałeś pan tego człowieka o którym z takiem wyrażałeś się uwielbieniem?

— Znałem go bardzo dobrze.

— Dziwna rzecz, że i ja podobne miałem w życiu zdarzenie. Znałem też człowieka, którego los w okrutny dotknął sposób i który bez łzy w oku patrzał na zburzony gmach swego szczęścia. Jedynym jego pragnieniem było umrzéć śmiercią żołnierza, na stanowisku na jakiem go obowiązek i honor umieściły. Powiedz pan czy tego człowieka należy nazywać bohaterem lub głupcem?... Skrępowany, bolesnym, trudnym obowiązkiem, którego był stróżem i opiekunem, człowiek ten w przeddzień najsroższej ofiary, jaką jest bezwątpienia wyrzeczenie się własnego szczęścia, spostrzegł, że jego poświęcenie nie ocali spokoju najdroższej dla niego istoty. Wtedy to dopiero uczuł cały ogrom cierpienia, lecz pomimo to nie cofnął się przed spełnieniem obowiązku... Czy takie surowe pojęcie obowiązku nazywa się wielkością duszy czy też okrucieństwem?

Pan Levallier zamilkł, spoglądając niespokojnym wzrokiem w zmienioną twarz Lucyana.

— Podług mnie dobrowolne wyrzeczenie się szczęścia dla obowiązku, to najwyższy stopień bohaterskiego poświęcenia — odezwał się Borrèze po chwili.

Pan Levallier skłonił lekko głowę na znak potwierdzenia, Lucyan zaś tak ciągnął dalej:

— Dla szlachetnego człowieka pociechą w każdem nieszczęściu jest myśl o wieczności.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Jutro w niedzielę, przypada trzecia maskarada, sale zatem redutowe zakipią piszczącym tłumem i gorącem równikowem.

Życzymy rozbawionym jak najlepszej uciechy, karnawał ma swoje prawa a i młodość także, dla której wszystko co tłumne, gwarne i wesołe... ponętne niezwykle.

Gdy tak Warszawa coraz bardziej rozbawia się i baraszkuje, wieści o mrozach i zawiejach śnieżnych nadchodzą z całej Europy. W Alzacyi śnieg leży na kilka stóp wysokości tak, że wszelka komunikacya jest przerwana. Pociągi na kolejach austryackich i węgierskich kursują bardzo nieregularnie, wszędzie bowiem tor jest zasypany. We Włoszech temperatura spada coraz bardziej. W San-Remo powietrze oziębiło się już znacznie. W całej Francyi, nawet w Cannes i Nizzy spadły obfite śniegi; w południowo-wschodniej Francyi panują niebywałe mrozy; w Barclonette (departament *basses Alpes*) termometr spadł na 25 stopni niżej zera. W Madrycie warstwa śniegu, pokrywająca ulice, gruba jest na kilka cali, jednocześnie temperatura tak się oziębiła, że jezioro w Retiro zamarzło; w okolicach spadły jeszcze obfitsze śniegi a w północnych i północno-zachodnich prowincyach komunikacya telegraficzna i kolejowa uległa przerwie. Telegram z Zante donosi, że nad całą Grecyą, szaleje gwałtowny orkan, połączony ze śnieżycą; w zatoce Patras rozbiło się przeszło 25 okrętów. W Szwajcaryi zawieje śnieżne są gwałtowniejsze niż gdziekolwiek, a nawet nie obeszło się bez ofiar w ludziach; podczas przejścia przez wąwóz S-go Bernarda pięciu robotników włoskich zaskoczonych przez burzę, zostało zasypanych śniegiem. Z wioski Fülly w kantonie Wallis donoszą o spadnięciu lawin, które zabiły jedną 5 a drugą 15-letnią dziewczynkę. W nocy w niektórych miejscowościach Szwajcaryi termometr spadł na 25 stopni niżej zera a w Davos nawet we dnie panuje 21 stopni w Gothardzie zaś i Säntis 23 stopnie. W całej W.-Brytanii również panują silne mrozy, a zwłaszcza w Anglii wschodniej.

Opiekun cyrkułu VII, jak było zapowiedzianem, w lokalu ochrony 8-ej przy ulicy Grzybowskiej rozpoczął wydawać obiady, z których korzystało 50 osób.

Liczba tych obiadów, w miarę ofiarności publicznej, jak nas zapewniono, zwiększać się będzie, ażeby przynieść ubogiej ludności, o ile podobna, największą pomoc w tak dotkliwej porze zimowej.

Na początek p. Kropiwnicki, właściciel zakładów piekarskich, zadeklarował dać codziennie na cel powyższy 40 funtów chleba.

W kilku tutejszych biurach rekomendacyi pracy, istniejących przy stowarzyszeniach subiektów i innych, znajduje się obecnie około 500 kandydatów na różne posady. Liczba zapotrzebowań w dniu 1 b. m. wynosiła tylko 44.

Zarządzający owemi wydziałami nie mają nadziei umieszczenia nawet połowy kandydatów w obecnych czasach stagnacyi.

Jeden z tutejszych amatorów jazdy konnej p. B. postanowił wzorem wioślarzy i cyklistów, utworzyć specyalne stowarzyszenie.

Towarzystwo ma miéć własną ujeżdżalnię i własne konie; udzielać lekcye konnej jazdy, urządzać różne wycieczki, wyścigi i t. p.

Ponieważ w Warszawie amatorów jazdy konnej jest bardzo wielu, p. B. ma nadzieję, iż jego projekt dojdzie do skutku.

Składka roczna ma być umiarkowaną, ażeby jak najszerszem kołom uprzystępnić udział w Towarzystwie. Członkowie mogą miéć własne konie, a nie mogący pozwolić sobie na taki zbytek, korzystać będą z koni, stanowiących własność ogólną.

Na założenie owego Towarzystwa, według obliczeń p. B., wymaganą jest suma rs. 15,000, t. j. rs. 5 000 na wzniesienie odpowiedniego budynku i rs. 10,000 na zakup koni i utensyliów.

Utrzymanie miesięczne obliczone jest na 1,000 rubli.

Dla zawiązania stowarzyszenia, p. B. projektuje utworzyć spółkę z udziałami po rs. 500, od których właściciele otrzymywać będą 5 proc.

Inicyator powyższego projektu w szczegółowym referacie wykazuje, iż jeżeli Towarzystwo będzie miało 300 członków, może się utrzymać i założycielom dać zyski od akcyi, oprócz bowiem składek rocznych będzie miało i inne dochody.

Ustawa Towarzystwa po szczegółowem opracowaniu przedstawioną będzie władzy do zatwierdzenia, poczem p. B. zajmie się utworzeniem spółki i ogłoszeniem programu tej instytucyi.

§§ **Bukiety Makarta**, od lat kilku stanowiące nieuniknioną ozdobę salonów, obecnie ustępują miejsca bukietom, zwanym Papuas. Nowość ta, złożona z różnobarwnych piór, przypomina piramidę, osadzoną w wazonie i zastępującą bukiety z traw suszonych. Papuasy zrodziły się w pracowni znanego paryzkiego malarza Gérome'a, a obecnie zostały przywiezione do Warszawy.

§§ **Upadek propinacyi.** Przed kilku dniami w biurze naczelnika pow. Łęczyckiego gub. Kaliskiej, odbywała się licytacya na propinacye miejskie w powiecie Łęczyckim; wywołała ona nader słabą konkurencyę; z ogólnej liczby 193 szynków, wydzierżawiono zaledwie 60; reszta mimo ciągłych obniżań sumy licytacyjnej nie może zwabić konkurentów.

§§ **W jednej z razur tutejszych** sprzedają dwa szczególnego rodzaju kosmetyki. Według nomenklatury, nadanej im przez wynalazcę są to:

1) Pomada z ogonów mamuta przeciw łupieżowi i wypadaniu włosów.

2) Olejek z mózgu krokodylów, który konserwuje czupryne i zabezpiecza ją od siwizny.

Ciekawa rzecz, czy pomysłowy pan wynalazca znajduje i jakich nabywców.

§§ **W Moulhouse** w Alzacyi, jak nam donosi zwiedzający niedawno to miasto inżynier p. B. K., w miejscowej szkole wyższej chemicznej, pracuje w charakterze asystenta rodak nasz p. Kostanecki, a sześciu polaków w szkole tej studyuje chemię. Trzej z nich, pp. Babicki, Morzkowski i Somerfeld, wszyscy warszawianie, w tych dniach właśnie chlubnie ukończyli kursa i wracają do kraju, ażeby służyć swemu społeczeństwu.

§§ **Dr med. Karol Teodor**, ks. bawarski, brat cesarzowej austryackiej, założył i urządził w Tegernsee wielki szpital, w którym leczą się bezpłatnie ubodzy, zwłaszcza chorzy na oczy. Jak seryo pojmuje książę swój dobrowolny obowiązek, świadczy okoliczność, iż codziennie przybywa do zakładu powozem z zdrojowiska Kreuth, które jest 3 mile odległe od Tegernsee. Okolica słynie z uroczych krajobrazów a głośną jest knajpa malarska „Bräustübl". Mistrze pędzla przybywają chętnie z Monachium do tej knajpy, której ściany umyślnie są dla nich pobielone. Na malarzy bowiem białe ściany działają tak, jak biały papier na literatów.

§§ **Nikotyna.** Rozpoczęto w Niemczech agitacyę przeciw paleniu tytoniu, zwłaszcza przez niedojrzałą młodzież. Pokolenie, stanowiące przyszłość narodu, karleje i mizernieje wskutek nadużycia tytoniu. Dlatego też w Szwajcaryi podlega karze młodzieniec, który pochwycony zostanie z papierosem w ustach przed 18 rokiem życia.

§§ **W jednem z biur** naszych kolejowych, od kilku lat prowadził w gronie kolegów operacye lichwiarskie pracownik tegoż biura. Dopóki operacye te nie doszły do szwindlu, lubo pogardzano lichwiarzem, był on tolerowany.

Tymczasem przed kilku tygodniami wystąpił z procesem przeciw jednemu z dłużników o należność z czterech rewersów, w sumie ogólnej 650 rubli.

Dwa rewersa od dwóch lat już były zapłacone, lecz nieoględny dłużnik zapomniał dokumenty wycofać, otrzymane zaś od X. pokwitowania zgubił, o czem wierzyciel musiał się dowiedzieć, kiedy tak śmiało wystąpił. Sędzia pokoju 12-go rewiru, wobec dokumentów, należność przysądził. Oburzeni koledzy postanowili niesumiennego „operatora" ukarać i wykluczyć go ze swego grona.

Dzięki temu ostracyzmowi koleżeńskiemu, X. dostał dymisyę.

§§ **Miniaturowe państewko.** Najmniejszem państewkiem w Europie jest terytoryum Moresnet, pomiędzy Akwisgranem a Verviers. Zajmuje ono zaledwie 6 kilometrów kw. i sławne jest ze swoich kopalni cynku, własności towarzystwa „Vieille Montagne." Te kopalnie stały się powodem politycznej niezawisłości kraju, gdy bowiem w roku 1815-ym ustalono granice pomiędzy Belgią a Prusami, każde z obydwu państw chciało owe kopalnie wcielić w swoje granice lub żądało odpowiedniego wynagrodzenia. Ugoda nie mogła przyjść do skutku — postanowiono więc terytoryum Maresnet, na którem było wówczas zaledwie pięćdziesiąt kilka nędznych chat górniczych, uznać za neutralne. Obecnie Moresnet liczy 800 domów. Zarówno Belgia jak i Prusy mają w tym kraiku po jednem komisarzu politycznym. Zadaniem tych komisarzów jest godzenie sporów wewnętrznych; nie mają oni jednak władzy wykonawczej. Na czele rządu stoi burmistrz, który sam sobie obiera 10 ławników. Administracya państwowa kosztuje rocznie 12,000 fr. Każdy mieszkaniec płaci przecięciowo 6 franków rocznego podatku. Szkoły i drogi utrzymywane są przez państwo. Wojska nie ma, władza zbrojna reprezentowana jest przez jednego policyanta. Kraik ten miniaturowy ma swoje własne marki pocztowe i monety. Pieniądze o herbie rzeczypospolitej: jedno i dwufrankówki bite są w Belgii. Miejscowość cała leży w pięknej dolinie nad małem jeziorkiem, na którego brzegu wznoszą się romantyczne ruiny z czasów Karola Wielkiego. Malowniczość okolicy i tanie a dobre wino ściągają tam z Akwisgranu wiele gości, którzy od pewnego czasu zaczynają budować w Moresnet piękne letnie wille.

§§ **W książce Wiktora Hugo** p. t. *Choses vues*, pisze też między innemi autor, iż król Ludwik Filip przyznał mu się, że raz w życiu tylko był zakochany w pani Genlis, swojej nauczycielce, która wówczas była metresą Mirabeau'a. — Była ona bardzo surowa a nawet okrutna, zapewniał król. Wychowywała mnie i siostrę moją. Tak w lecie jak i w zimie musieliśmy wstawać o 6-ej i byliśmy karmieni mlekiem, pieczonem mięsem i chlebem; nie dostawaliśmy nigdy cukierka ani żadnych łakoci; dużo roboty a rozrywki żadnej. Ona to przyzwyczaiła mnie spać na deskach. Nauczyła mnie mnóstwa rzemiosł. Umiem krew puszczać jak Figaro; jestem stolarzem, woźnicą, murarzem, kowalem. Postępowała systematycznie i stanowczo. Byłem wątłym, leniwym i bojaźliwym chłopcem, bałem się myszy; ona zrobiła ze mnie odważnego człowieka. Gdy wyrosłem spostrzegłem, że jest bardzo ładną. Kochałem się w niej, nie przeczuwając tego.

§§ **Zapytana co to jest szczęście**, pani George Sand odparła: — Szczęście jest jak żyd wieczny tułacz: wiele osób utrzymuje, iż widziało go przechodzącego, ale nikt go nie zatrzymał.

— Gdzie idziesz?
— Do miasta.
— A po co?
— Do przysięgi w sądzie.
— W czyjej sprawie.
— Nie wiem jeszcze jak mi się zdarzy

* * *

Albert Wolf znany krytyk i feljetonista paryzki zamieszcza w *Figarze* zabawne zdarzenie z początków swojej karyery dziennikarskiej. Przed laty 30-tu, gdy Villemessant, wydawca wychodzącego wówczas dwa razy na tydzień *Figara*, poszukiwał na bulwarach młodych talentów pisarskich, był Albert Wolf „cyganem" literackim najczystszej wody. Pierwszy artykuł jaki posłał Villemessant'owi został natychmiast przyjęty i w następnym numerze pisma umieszczony. Honoraryum za feljeton wynosiło wówczas ogólnie 100 franków i Wolf nie wątpił, że i jemu Villemessant podobną kwotę wypłaci. Gdy wszakże zjawił się w kasie redakcyjnej, położono mu na stół 37 fr. 80 cent, licząc po 3 sous, za wiersz. Wolf niechciał honoraryum takiego przyjąć i wzburzony kazał kasyerowi oświadczyć p. Villemessant, iż mu robi prezent z artykułu. Był bowiem przekonany, że wydawca natychmiast przyśle do niego i przeprosi go; omylił się wszakże bardzo. Godzina mijała za godziną, Villemessant nie przysyłał a Wolf, który nie miał szeląga w kieszeni pokorniał coraz bardziej aż wreszcie rzucił pychę z serca i napisał do Villemessant'a następujący list: „Szanowny panie. Dowiaduję się właśnie, że dzisiaj popołudniu zjawił się w kasie pańskiej oszust, w celu odebrania przeznaczonego dla mnie honoraryum w kwocie 37 fr. 80 cent. Ponieważ widocznie sądził, iż honoraryum wyniesie 100 fr., przeto nie chciał przyjąć tak małej sumki. Sądzę, iż nie potrzebuję panu dopiero mówić, że nie mam nic wspólnego z tem całem zajściem i proszę pana o łaskawe przysłanie mi przez oddawcę niniejszego 37 fr. 80 cent. Nie przywiązuję żadnej wagi do wysokości honoraryum, główną rzeczą dla mnie jest i pozostanie zaszczyt, że debiutowałem w pańskiem piśmie. To przeświadczenie jest mi droższe nad wszystkie skarby świata." W pół godziny później otrzymał Wolf od Villemessant'a odpowiedź wraz z banknotem 100 frankowym i dopiskiem, iż 37 fr. 80 cent. stanowi honoraryum za feljeton, reszta zaś 62 fr. 20 cent. za dowcipny list.

* * *

Ukarany żarłok. Zabawną historyjkę opowiada „Frankfurter Ztg" o pewnym obywatelu ziemskim i hodowcy bydła, Człowiek ten, obok mnóstwa zalet, posiada jedną wielką wadę, iż jest ogromnym żarłokiem. Żadne śniadanie, żaden obiad, nie zdołają go tak nasycić, aby za małą chwilkę nie potrzebował czegoś „przetrącić". Z zadowoleniem tego ustawicznego głodu radzi sobie biedny żarłok w domu u siebie nienajgorzej, zawsze bowiem znajdzie się tam coś do przekąszenia. Natomiast u obcych i w podróży sprawa ta natrafia na większe cokolwiek trudności. Niemałego kłopotu napędził też biednemu człowiekowi wybór, jakim w tych dniach został zaszczycony. Mianowicie komitet odbywającej się we Frankfurcie wielkiej wystawy bydła opasowego wybrał go, jako specyalistę w hodowli, na sędziego w jednym z działów, a wskutek tego trzeba było wyruszyć

w podróż. Ale od czegoż dobrzy przyjaciele. Znając słabostkę biednego sędziego, zaopatrzyli go na drogę w wielki kosz, wyładowany obficie różnem mięsiwem i przysmakami, ale postawili za warunek, że w podróży z Królewca przez Berlin do Frankfurtu, pan sędzia otworzy koszyk dopiero w Elblągu, jako w miejscu, w którym wszyscy odbywający tę drogę, spożywają śniadanie. Żarłok przyrzekł solennie dotrzymać słowa, kosz wstawiono mu do wagonu i pociąg ruszył. Na pierwszej stacyi za Królewcem, podróżny spoglądał na kosz ze stoicką obojętnością. Ale na dugiej i trzeciej począł go ogarniać coraz większy niepokój. Na czwartej kosz znalazł się już obok niego. Wtedy jednak przypomniał sobie o danem przyrzeczeniu i pokusę od siebie odsunął. Ale gdy przyszła piąta stacya, biedny człowiek był zwyciężony. Nie pytając już na nic, począł rozcinać sznurki i zabrał się do otwarcia kosza. Przysmaków tam istotnie nie brakło, ale na odwrotnej stronie wieka znalazło się też wielkiemi literami wypisane przez przyjaciół zapytanie: „Czy to tu już Elbląg łajdaku?...”

* * *

— Jakże nową sztukę przyjęła wczoraj publiczność?

— Bardzo dobrze, a nawet powodzenie niesłychane. Teatr był pełny, brawa co chwila odzywały się...

— Krytyka jednak teatralna i autora i sztukę zrąbała na zrazy, jakaż więc może być przyczyna tak sprzecznej opinii?

— Bardzo jasna. Autor zapomniał argumentem śniadaniowym uprosić krytyków o pobłażanie, zbili go więc na kwaśne jabłko. Na przedstawienie zaś rozesłał bilety swoim wierzycielom, którzy bili brawo, aby zapewniwszy autorowi wysokie honoraryum, mogli choć po połowie swej należności z niego wydusić.

* * *

Najpieprzniejszy kuplet. Znana paryzka diva operetkowa, Anna Judic, rozpisała niedawno konkurs na najdowcipniejszy kuplet. Nagroda 200 franków.

Gdy pootwierano koperty stwierdzono, że nagrodę otrzymała... 14-letnia panienka z dystyngowanego domu, kończąca właśnie edukacyą w jednym z największych pensyonatów paryskich. Gdy się mistrzyni tego zakładu dowiedziała o tryumfie swojej elewki, odesłała ją natychmiast do rodziców. Za to p. Judic unosi się nad pracą wiele obiecującej panienki. Ale też, jak donoszą dzienniki, kuplet jest tak pieprzny, żeby się kapral przy nim mógł zarumienić...

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 2 wyszedł z druku i zawiera:

Wyprawy krzyżowe. — Rok 1888 (wiersz).—Cztery pragnienia (komedyjka).—Grota lodowa w Dobszynie (z drzeworytem). — Jeddo, stolica w Japonii (z drzew.)—Opowiadanie prawdziwe.—Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Doświadczenie Janinki. — Mruczek (wiersz z drzeworytem). — Co gwiazdka widzi? — Nieposłuszny (wiersz). — Lepiej późno jak nigdy. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Декабря 1887 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego.** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.